

**GILBERT KEITH CHESTERTON**

**ZŁOWROGI KSZTAŁT**



Niektóre z głównych dróg wychodzących z Londynu na północ biegną dalej w głąb kraju i mimo rozrzedzonej, nieregularnej zabudowy i dużych przestrzeni pozbawionych domów zachowują nadal zarys miejskiej ulicy. W sąsiedztwie grupy sklepów widać ogrodzone pole lub pastwisko, obok słynnego zajazdu rozciąga się ogród warzywny albo uprawa sadzonek, dalej znów stoi duży dom mieszkalny, za nim pole, a za polem znowu gospoda.

Przypadkowy przechodzień, który zobaczy ów dom, zwróci nań zapewne uwagę, choć może nie będzie umiał powiedzieć dlaczego. Jest to długi, niski budynek, usytuowany równolegle do drogi, o ścianach koloru bieli i pastelowej zieleni, z werandą i markizami, z kopułasto zwieńczonymi ganeczkami w kształcie drewnianych parasoli, jakie widuje się czasami przy staroświeckich domostwach. Jest to zresztą dom prawdziwie staroświecki, bardzo angielski, typowo podmiejski, z tych, jakie widuje się w szacownych, zamożnych dzielnicach podmiejskich Londynu. A jednak w jego wyglądzie jest coś, co sprawia wrażenie, że zbudowano go z myślą o ciepłym klimacie. Jego białe ściany i markizy nasuwają mgliste wyobrażenie wschodnich zawojów i palm. Trudno to zresztą określić; może po prostu budowniczym domu był jakiś Anglo-Hindus.

Ktokolwiek zatem ujrzy ów dom, będzie nim w nieuchwytny sposób zafascynowany; odgadnie, że łączy się z nim jakaś historia. I nie omyli się, jak niebawem się okaże. Oto jest bowiem opowieść - opowieść o osobliwych zdarzeniach, jakie rozegrały się tu podczas Zielonych Świąt roku 18...

Przechodzień, który by się tam znalazł w przedświątce czwartek, około wpół do piątej po południu, zobaczyłby jak otwierają się drzwi frontowe i staje w nich, z fajką w ustach, ksiądz z maleńkiego kościółka pod wezwaniem St. Mungo, ojciec Brown, oraz jego przyjaciel Flambeau, wysoki jak tyczka Francuz, ćmiący malutką cygaretkę. Osoby te mogą wprawdzie nie wzbudzić specjalnego zainteresowania Czytelnika, ale uchylone drzwi biało-zielonego domu ukazują coś więcej. Dom bowiem zawiera wiele osobliwości, o których muszę wspomnieć, i to nie tylko dlatego, by ułatwić Czytelnikowi zrozumienie tej tragicznej opowieści, lecz również by zaspokoić jego ciekawość.

Dom zbudowano na planie litery T, ale T o odwróconych proporcjach: z bardzo długą kreseczką poprzeczną i bardzo krótką pionową. Odpowiednikiem tej pierwszej była część frontowa budynku, przylegająca do ulicy, piętrowa, z głównym wejściem pośrodku; zawierała ona wszystkie ważniejsze pomieszczenia. Tej drugiej odpowiadała część parterowa, zaczynająca się na wprost drzwi frontowych, z tyłu. Składały się na nią dwa długie pomieszczenia, w amfiladzie. Pierwsze było pracownią, w której słynny poeta Quinton pisywał swe szalone poematy i romance, następne zaś oszkloną oranżerią pełną tropikalnych kwiatów o niezwyklej, monsturalnej wręcz piękności, a w takie jak to właśnie popołudnia roziskrzoną słonecznym blaskiem. Gdy drzwi od hallu były otwarte, niemal każdy przechodzień zatrzymywał się jak urzeczony i chłonał niezwykle widok. Wzrok biegł przez wspaniałe wnętrza i zatrzymywał się olśniony widokiem przypominającym scenę z czarodziejskiej baśni: purpurowych obłoków, złocistych słońc i szkarłatnych gwiazd, oślepiająco jaskrawych i zarazem przejrzystych i odległych.

Ów niezwykle efekt został wyreżyserowany przez samego poetę kosztem wielu starań i należy wątpić, czy z równą doskonałością udało mu się wyrazić swą osobowość w którymś z poematów. Leonard Quinton chłonał kolory i pławił się w kolorach z ogromną namiętnością, czasami nawet kosztem formy - i to dobrej formy. Stąd też wynikało jego opętanie wschodnią sztuką i ornamentacją; oszalałymi dywanami, wywołującymi oczopląs haftami, gdzie wszystkie barwy współgrają ze sobą w niefrasobliwym chaosie, niczego nie przedstawiając ani nie wyrażając. Usiłował, może bez pełnego sukcesu artystycznego, ale za to z budzącą podziw wyobraźnią i odkrywczością komponować eposy i poematy miłosne, odzwierciedlające

szaleństwo krzykliwych, okrutnych nawet barw; więc opowieści o tropikalnych rajach płonącego złota i miedzi o odcieniu krwi, o wschodnich herosach w mitrach i dwunastu zawojcach galopujących na słońcach w kolorze purpury lub pawiej zieleni, o klejnotach płonących starożytnym i osobliwym blaskiem i tak olbrzymich, że stu niewolników nie mogło unieść ich w górę.

Mówiąc krótko i prozaicznie, Quinton opisywał raje Wschodu, okropniejsze od wszelkich piekieł Zachodu; orientalnych monarchów, których można by nazwać bez przesady maniakami; wschodnie klejnoty, których zapewne jubiler z londyńskiej Bond Street (gdyby stu ślaniających się pod brzemieniem niewolników wniosło je do sklepu) nie uznałby za prawdziwe. Quinton był geniuszem, jeśli nawet geniuszem cokolwiek chorobliwym, przy czym słabość tę objawiał raczej w życiu niż w twórczości. Słabego charakteru, chimeryczny, zapadał na zdrowiu z winy eksperymentów z opium. Jego żona, kobieta ładna, lecz nader zapracowana czy raczej przepracowana, usiłowała przeciwstawić się nałogowi męża, jednak największy jej sprzeciw budziła obecność snującego się po domu w białozółtej szacie hinduskiego eremity, którego Quinton upierał się gościć od miesięcy, traktując jako przewodnika swej duszy przez raje i piekła Wschodu.

Z takiej to artystycznej siedziby wyszedł właśnie ojciec Brown ze swym przyjacielem i trzeba dodać, że na ich twarzach widać było ulgę. Flambeau znał Quintona jeszcze z szalonych studenckich lat spędzonych wspólnie w Paryżu. Przebywali teraz ze sobą kilka dni, ale Flambeau, który i tak zresztą spoważniał od tamtego czasu, nie mógł już znaleźć z poetą wspólnego języka. Nie uważał też, aby narkotyzowanie się i pisanie króciutkich erotyków na welinowym papierze było dla dżentelmena najwłaściwszym sposobem samounicestwienia. Akurat gdy Brown i Flambeau zatrzymali się na moment, by skrócić do ogrodu, furka pchnięta gwałtownie otworzyła się na oścież i ukazał się młody człowiek w meloniku zsuniętym na tył głowy. W pośpiechu wbiegł po kilka stopni na raz po schodach. Miał wygląd hulaki, jaskrawoczerwony krawat przekrzywiony jakby w nim spał i nerwowo wymachiwał trzciniową laseczką.

- Halo - powiedział zdyszany. - Chcę się widzieć z moim drogim Quintonem. Muszę się z nim zobaczyć. Czy może wyszedł?

- Pan Quinton jest w domu - odparł Brown, który czyścił akurat fajkę. - Ale nie wiem, czy pana przyjmie. Jest u niego lekarz.

Młody człowiek, który był chyba nie całkiem trzeźwy, potykając się wszedł do hallu. W tej samej chwili z pracowni Quintona wyszedł doktor, zamknął drzwi i zaczął naciągać rękawiczki.

- Do pana Quintona? - spytał chłodno. - Obawiam się, że nie może pan wejść. Absolutnie nie wolno mu przeszkadzać. Przed chwilą podałem mu napój nasenny.

- Ale widzi pan, przyjacielu - bąknął młody człowiek w czerwonym krawacie, czule łapiąc doktora za kłapy płaszcza - jestem kompletnie załatwiony...

- Nic z tego, panie Atkinson - powiedział doktor odpychając natręta. - Zmieniłbym decyzję, gdyby pan odwrócił działanie leku.

Doktor włożył kapelusz i wyszedł z domu. Był to opanowany, niski mężczyzna z byczą szyją, małym wąsikiem i wyglądem niewypowiedzianie pospolitym. Robił jednak wrażenie człowieka kompetentnego.

Młody człowiek w meloniku, który, zdawało się, nie umiał nawiązywać z ludźmi kontaktu inaczej niż chwytając ich za odzienie, stał przy drzwiach i z tak głupią miną, jakby w istocie wzięto go za kołnierz i wyrzucono za próg, i obserwował trzech mężczyzn idących przez ogród.

- Sprytnie go zwiodłem - powiedział ze śmiechem lekarz. - Biedny Quinton dostanie swoje lekarstwo dopiero za pół godziny. Nie chciałem, żeby ten hultaj zawracał mu głowę. Chce jak zwykle pożyczyć pieniędzy, których i tak nie odda. To mały plugawy nicpoń, mimo

że jest bratem pani Quinton, a ona jest prawdziwym aniołem.

- Tak - zgodził się ojciec Brown. - To dobra kobieta.

- Przespacerujemy się po ogrodzie, póki .. ten typ nie odejdzie - mówił doktor - a potem pójdę do Quintona z lekarstwem. Atkinson nie dostanie się do środka, bo zamknąłem drzwi na klucz.

- W takim razie, doktorze Harris- powiedział Flambeau - chodźmy dalej, w stronę oranżerii. Nie ma tam wejścia, ale warto zajrzeć do niej i z zewnątrz.

- Dobrze, przy okazji rzucę okiem na mojego pacjenta - zaśmiał się doktor. - Lubi leżeć na otomanie w końcu oranżerii, wśród poinsecji czerwonych jak krew. Czuję się tam nieswojo. Ale co ksiądz robi?

Ojciec Brown zatrzymał się na chwilę i podniósł ukryty w wysokiej trawie dziwny, zakrzywiony sztylet orientalny, bogato inkrustowany różnobarwnymi kamieniami i metalem.

- Cóż to jest? - spytał patrząc na nóż podejrzliwie.

- Pewnie należy do Quintona - rzucił niedbale doktor Harris. - On ma mnóstwo takich chińskich świecidełek. A może to nóż tego potulnego Hindusa, który snuje się za Quintonem jak cień.

- Jakiego znowu Hindusa? - spytał Brown wciąż przyglądając się sztyletowi, który trzymał w ręku.

- To hinduski mag - powiedział doktor. - Oczywiście szalbierz.

- Pan nie wierzy w magię? - zapytał ojciec Brown nie podnosząc wzroku.

- Też coś! w magię! - prychnął doktor.

- Jest bardzo piękny - powiedział ksiądz cicho, w zadumie. - Ma wspaniałe kolory. Ale jego kształt jest zły.

- Do czego zły? - spytał zdumiony Flambeau.

- Do wszystkiego. Zły w sensie abstrakcyjnym. Czy sztuka Wschodu nie sprawia na tobie takiego wrażenia? Kolorystyka jest przepiękna, ale kształty niewydarzone i kiepskie. Celowo niewydarzone. We wzorze tureckiego dywanu odkryłem niegodziwe rzeczy.

- Mon Dieu! - zawołał ze śmiechem Flambeau.

- Są tam litery i symbole języka, którego nie znam, ale jestem przekonany, że wyrażają zło - mówił coraz ciszej ksiądz. - Znaki są zniekształcone celowo, jak wąż, który zwija się, żeby rzucić się do ucieczki.

- O czym do licha ksiądz mówi? - spytał doktor wybuchając śmiechem.

Flambeau odpowiedział mu spokojnie:

- Ojciec Brown popada czasem w mistyczne nastroje, ale uprzedzam, że dzieje się tak tylko wtedy, gdy w powietrzu wisi coś niedobrego.

- Co za bzdury - mruknął lekarz.

- Jakże to! - wykrzyknął ojciec Brown wyciągając jak najdalej od siebie rękę z krzywym sztyletem, jakby to był lśniący wąż. - Czy pan nie widzi, że jego kształt uosabia zło? Że nie znamionuje wyraźnego, jasnego celu? Nie można nim pchnąć jak włócznią. Ani machnąć tak jak kosą. Nie wygląda jak broń. Przypomina narzędzie tortur.

- Skoro się tak księdzu nie podoba - powiedział nieporuszony wywodami Browna doktor - lepiej zwrócić go właścicielowi. Kiedy wreszcie dojdziemy do tej cholerniej oranżerii? Ten dom ma z pewnością zły kształt.

- Niczego pan nie rozumie - powiedział ojciec Brown kiwając głową. - Kształt tego domu jest niespotykany, a nawet śmieszny. Ale nie ma w nim nic złowieszczego.

Rozmawiając zbliżyli się do szklanej ściany oranżerii, stanowiącej jednolitą płaszczyznę bez drzwi i okien. Szkło było przejrzyste, a światło słoneczne, choć do zachodu było blisko, jeszcze dość silne, mogli więc zobaczyć nie tylko rozkwitłe kwiaty, ale również wąż figurkę poety, leżącego w brązowym aksamitnym szlafroku na sofie. Najwyraźniej zdrzemnął się nad książką. Był to blady, drobny mężczyzna z luźno opadającymi kasztanowatymi włosami.

mi i małą bródką, która - co paradoksalne - nadawała jego obliczu wygląd zniewieściały. Wszyscy trzej panowie znali zresztą doskonale to oblicze, gdyby zaś nawet tak nie było, i tak by mu się teraz nie przyglądali. Kto inny przykuł ich uwagę.

Dokładnie na ich drodze, tuż za krzywizną zaokrąglającej się ściany oranżerii, stał wysoki człowiek w długiej do stóp, olśniewająco białej, fałdzistej szacie. Jego naga brunatna czaszka, twarz i szyja lśniły w promieniach zachodzącego słońca jak odlane z brązu. Patrzył przez szkło na śpiącego i był nieruchomy jak góra.

- Kto to jest? - zawołał cofając się i chwytając ze świstem powietrze ojciec Brown.

- To tylko ten hinduski szarlatan - mruknął Harris. - Co on tu u licha robi?

- Wygląda jakby hipnotyzował Quintona - powiedział Flambeau przygryzając czarny wąs.

- Dlaczego wy, ludzie nie mający pojęcia o medycynie, pleciecie zawsze nonsensy o hipnotyzmie? - zawołał doktor. - On raczej wygląda, jakby zamierzał się włamać.

- Zaraz się dowiemy - powiedział Flambeau, który zawsze działał błyskawicznie. Jednym długim susem znalazł się przy Hindusie. Pochylając się, a górował nad nim znacznie wzrostem, powiedział ze spokojnym zuchwalstwem: - Dobry wieczór panu. Czy pan czegoś potrzebuje?

Z wolna, jak wielki okręt dokonujący zwrotu w porcie, wielka żółta twarz obróciła się i zatrzymała ponad białym ramieniem. Ze zdumieniem zobaczyli, że żółte powieki były opuszczone, jak we śnie.

- Dziękuję - odezwała się twarz doskonałą angielszczyzną. - Niczego mi nie potrzeba. - Potem, na pół unosząc powieki, tyle tylko by odsłonić skrawek opalizującej gałki ocznej, Hindus powtórzył: - Niczego mi nie potrzeba. - Po czym otworzył szeroko oczy o niespokojnym wyrazie i powiedział: - Niczego mi nie potrzeba. - I odszedł szeleszcząc szatami w głąb gwałtownie ciemniejącego ogrodu.

- Chrześcijanie mają więcej skromności - mruknął ojciec Brown. - Oni czegoś pragną.

- Co on tu u diabła robił? - spytał Flambeau marszcząc czarne brwi i zniżając głos.

- Porozmawiamy o tym później - powiedział ojciec Brown.

Słońce jeszcze nie zaszło, ale świeciło już tylko różowym, wieczornym światłem; drzewa i krzewy pogrążyły się w gęstniejącym mroku. Trzej mężczyźni obeszlą dookoła oranżerię i udali się, okrążając dom z drugiej strony, w kierunku wejścia. Ich kroki kogoś spłoszyły, jak płoszy się ptaka: usłyszeli szelest w zakątku między głównym budynkiem a jego odnogą. Zobaczyli znów fakira w białej szacie, który wychynął z cienia i skierował się ku drzwiom frontowym. Ku ich zaskoczeniu nie był sam. Widok pani Quinton, z jej bladą twarzą okoloną bujnymi, złotymi włosami, wyłaniającej się z półmroku, osadził ich w miejscu. Spojrzała na nich z pewną surowością, zachowując jednak uprzejmość.

- Dobry wieczór, doktorze Harris - powiedziała tylko.

- Dobry wieczór pani - serdecznie odparł doktor. - Właśnie zamierzam podać pani mężowi lekarstwo.

- Tak - powiedziała. - Chyba już czas. - Uśmiechnęła się do nich i poszła chwiejnym krokiem do domu.

- Ta kobieta jest umęczona - powiedział ojciec Brown. - To ten typ kobiety, która bez słowa skargi wypełnia swe obowiązki przez dwadzieścia lat, a potem nagle robi coś strasznego.

Mały doktor po raz pierwszy spojrział na niego z prawdziwym zainteresowaniem.

- Czy ksiądz studiował medycynę? - zapytał.

- Wy, lekarze, musicie mieć wiedzę zarówno o umyśle, jak i o ciele człowieka - odparł ksiądz. - My, duchowni, podobnie, choć w innym nieco sensie.

- Tak - powiedział doktor. - Idę do Quintona.

Wyszli z za węgła i skierowali się ku drzwiom frontowym. I wówczas po raz trzeci

ujrzeli postać w białej szacie. Zbliżał się do drzwi pod takim kątem, jakby wyszedł właśnie z pracowni. Wiedzieli jednak, że drzwi do niej były zamknięte.

Ojciec Brown i Flambeau zatrzymali to spostrzeżenie dla siebie, a doktor Harris nie był człowiekiem, który traciłby czas nad rozważaniem czegoś, co niemożliwe. Przepuścił wychodzącego Azjatę, który zdawał się być wszędzie naraz, po czym wkroczył energicznie do hallu. Tu zobaczył postać, o której istnieniu zapomniał. Idiotyczny Atkinson kręcił się niespokojnie, nucąc coś pod nosem i poszturchując sprzęty laseczką. Na twarzy doktora odmalowała się odraza. Wyszeptał pośpiesznie do swych towarzyszy:

- Muszę znowu zamknąć drzwi na klucz, inaczej ta kreatura wśliznie się za mną. Wróć za dwie minuty.

Szybko otworzył drzwi i błyskawicznie zamknął je za sobą, uprzedzając niezręczną szarżę młodego człowieka w meloniku. Zirytowany Atkinson rzucił się na krzesło. Flambeau oglądał miniatury perskich rękopisów wiszące na ścianach, ojciec Brown, który był jakby oszołomiony, tępo patrzył w drzwi. Po jakichś czterech minutach drzwi się otworzyły. Tym razem Atkinson był szybszy. Skoczył do przodu, wsadził głowę do pokoju i zawołał:

- Słuchaj Quinton, chcę...

Z drugiego końca pracowni dobiegł wyraźnie głos Quintona, coś pośredniego między ziewnięciem i znudzonym śmiechem.

- Wiem, czego chcesz. Masz i zostaw mnie w spokoju. Piszę pieśń o pawiach.

Nim drzwi się zamknęły, do hallu wpadło pół suwerena i Atkinson złapał monetę z niespodziewaną zręcznością.

- Sprawa załatwiona - oznajmił doktor, przekręcając z wściekłością klucz, po czym wyszedł do ogrodu. - Biedny Leonard będzie miał teraz trochę spokoju - powiedział do ojca Browna. - Przez godzinę lub dwie będzie całkiem wyłączony.

- Tak - powiedział ksiądz. I głos miał dość pogodny.

Ojciec Brown rozejrzał się badawczo po ogrodzie. Ujrzał Atkinsona, który bawił się monetą spoczywającą w kieszeni, a dalej, w purpurowym świetle zmierzchu, postać Hindusa, który siedział na trawie sztywno wyprostowany, z twarzą zwróconą w stronę zachodzącego słońca. Brown spytał ostro:

- Gdzie jest pani Quinton?

- Poszła do swojego pokoju - odparł doktor. - Widać na storze jej cień.

Ojciec Brown spojrział w górę i marszcząc brwi, badawczo przyjrzał się konturowi ciemnej sylwetki odbijającej się w oświetlonym oknie.

- Tak, to ona.

Przeszedł parę kroków i opadł na ławkę.

Flambeau usiadł obok, ale doktor należał do tych rozsadzanych energią ludzi, którzy nie znosili bezruchu. Pałac fajkę, odszedł w ciemność i dwaj przyjaciele zostali sami.

- Mój ojciec - powiedział po francusku Flambeau - co się z tobą dzieje?

Ojciec Brown nie odzywał się i nie poruszał przez chwilę, wreszcie powiedział:

- Zabobon nie przystoi księdzu, ale tu wprost coś się czai w powietrzu. Może wiąże się to z obecnością tego Hindusa... przynajmniej częściowo.

Zamilkł i obserwował daleką sylwetkę Hindusa, który wciąż siedział sztywno, jakby się modlił. Zrazu wydawał się nieruchomy, ale gdy patrzyło się dłużej, widać było, że rytmicznie się kołysze, tak nieznacznie jak wierzchołki drzew pod tchnieniem wiatru, który skradał się też po ciemnych ścieżkach ogrodu i szeleścił cicho wśród opadłych liści.

Ściemniało się nagle, jak przed burzą, ale wciąż jeszcze widać było sylwetki znajdujące się w ogrodzie: Atkinsona wspartego o drzewo, z apatycznym wyrazem twarzy, żony Quintona przy oknie, doktora przechadzającego się koło oranżerii i żarzący się koniuszek jego cygara migający jak błędny ogień, wreszcie fakira, który siedział nadal sztywno i ledwo dostrzegalnie się kołysał. Tymczasem wiatr poruszał coraz gwałtowniej gałęziami drzew, a jego

szum przechodził już prawie w ryk.

- Kiedy Hindus do nas mówił - podjął rozmowę Brown - miałem jakby wizję: ujrzałem wyraźnie jego i cały jego świat. A przecież powtórzył tylko trzykrotnie jedno zdanie. Gdy po raz pierwszy powiedział „Niczego nie pragnę” oznaczało to tylko, że jest nieprzenikniony, że Azja nie zdradza swoich tajemnic. Gdy powiedział to drugi raz wiedziałem, że chodzi mu o to, iż wystarczy sam sobie jak kosmos, że nie potrzebuje Boga i nie uznaje grzechu. Gdy zaś powtarzał słowa te po raz trzeci, jego oczy płonęły. Wiedziałem, że tym razem rozumiał to tak, iż nicość jest jego pragnieniem i domem, że spragniony jest nicości jak wina, że unicestwienie, zniszczenie wszystkiego...

Spadły dwie krople deszczu i nie wiadomo czemu Flambeau wzdrygnął się i spojrzał w górę jakby coś go ukuło. W tej samej chwili doktor zaczął biec w ich stronę, coś wołając.

Wpadł między nich jak bomba akurat wtedy, gdy zaniepokojony Atkinson ruszał w stronę domu. Doktor schwycił go dygocącą ręką za kołnierz.

- Co to za machinacje! - zawołał. - Co mu zrobiłeś, łajdaku?

Ksiądz poderwał się. Głos miał władczy jak dowódca wydający rozkaz.

- Żadnej bijatyki! - zawołał. - Jest nas tu dosyć, żeby sobie inaczej poradzić. O co chodzi, doktorze?

- Coś jest nie w porządku z Quintonem - odparł pobladły lekarz. - Zobaczyłem go przez szybę i uderzyło mnie, że leży w jakiejś dziwnej pozycji. Inaczej niż kiedy go opuszczałem.

- Chodźmy do niego - powiedział nie tracąc czasu ojciec Brown. - Może pan zostawić w spokoju Atkinsona. Miałem go na oku od chwili, gdy słyszeliśmy głos Quintona.

- Zostanę tu i będę go pilnował - powiedział Flambeau i przynaglił ich: - Idźcie do Quintona.

Doktor i ksiądz popędzili do domu, otworzyli z klucza drzwi pracowni i wpadli do pokoju, o mało nie potykając się o stojący na środku wielki mahoniowy stół, przy którym pracował zazwyczaj poeta; pokój rozświetlał tylko słaby odblask ognia tłącego się na kominku. Na środku stołu leżał pojedynczy arkusik papieru, najwyraźniej specjalnie tu pozostawiony. Doktor porwał papier, zerknął nań, podał go Brownowi i krzyżując: - Dobry Boże, proszę przeczytać! - wbiegł do oranżerii, gdzie okropne tropikalne kwiaty wchłonęły, jak się zdawało, karmazynową czerwień niedawnego zachodu słońca.

Ojciec Brown trzy razy przeczytał kartkę, nim oderwał od niej wzrok. Oto jej treść: „Ginę z własnej ręki, a jednak zamordowany!” Napisane to było charakterystycznym, by nie rzec nieczytelnym, pismem Leonarda Quintona.

Ojciec Brown, wciąż z kartką w ręku, wpadł do oranżerii, lecz natknął się na powracającego lekarza, na którego twarzy ujrzał przygnębienie i potwierdzenie przypuszczeń.

- Zrobił to - powiedział Harris.

Przeszli razem przez gąszcz kaktusów i azalii wdzięczących się nienaturalnym pięknem i ujrzeni martwego Leonarda Quintona, poetę i trubadura, z głową zwisającą z otomany i rudymi lokami zamiatającymi pył podłogi. W jego lewej piersi tkwił zakrzywiony sztylet, który widzieli w ogrodzie, a bezwładna dłoń spoczywała na rękojści.

Na zewnątrz burza wybuchła z całą mocą, niczym w balladzie Coleridge'a. I ogród, i szklany dach oranżerii pociemniały w potokach ulewnego deszczu. Studiowanie kartki papieru zdawało bardziej zajmować Browna niż ciało Quintona. Zbliżył ją do oczu, jakby próbował odcyfrować w ciemności. Potem podsunął ją do nikłego światła. W tym momencie rozbłysła tak oślepiająco biała błyskawica, że papier wydał się czarny. Nastąpiła ciemność wypełniona potężnym grzmiotem. Gdy ucichło, z ciemności dobiegł głos Browna:

- Doktorze - powiedział - ta kartka ma zły kształt.

- Co ojciec chce przez to powiedzieć? - spytał Harris rzucając mu krzywe spojrzenie.

- Nie jest prostokątna. Wygląda, jakby ktoś odciął jej róg. Co to może znaczyć?

- A skąd u licha mam to wiedzieć - odburknął doktor. - Czy przeniesiemy tego biedaka? Nie ulega wątpliwości, że jest martwy.

- Nie, musimy zostawić go tak jak leży i zawiadomić policję - powiedział ksiądz nie odrywając oczu od kartki papieru.

Wracając przez pracownię ksiądz zatrzymał się przy stole i podniósł nożyczki do paznokci.

- Ach - powiedział jakby z ulgą - to tym obcięto kartkę. A jednak... - Ksiądz zmarszczył brwi.

- Niechże ojciec przestanie zajmować się tym świstkiem papieru - powiedział stanowczo doktor - To było pewnie jedno z jego wielu dziwactw. Miał ich setki. Zawsze tak przycinał kartki, na których pisał. - Tu doktor wskazał plik nie zapisanego biblijnego papieru leżący na małym stoliku. Ojciec Brown podszedł bliżej i wziął jeden arkusik. Miał ten sam nieregularny kształt.

- Rzeczywiście - powiedział. - A tu widzę odcięte skrawki. - I ku oburzeniu towarzysza zaczął je liczyć. - W porządku - powiedział z przepraszającym uśmiechem. - Dwadzieścia trzy arkusiki z obciętymi koniuszkami i dwadzieścia dwa koniuszki. Widzę, że niecierpliwi się pan. Już idziemy.

- Kto powie pani Quinton? - spytał doktor Harris. - Czy mógłby ksiądz tym się zająć, a ja wyślę służącego na policję?

- Jak pan chce - powiedział obojętnie ksiądz i skierował się do wyjścia.

Rozgrywał się tu także dramat, ale o posmaku groteski. Ksiądz ujrzał swego olbrzymiego przyjaciela w postawie, od jakiej ten od dawna odwykł; pan Atkinson leżał zaś powalony dopiero co ciosem Flambeau, wymachując nogami w powietrzu, a jego melonik i laska toczyły się ścieżką w przeciwnych kierunkach. Atkinsonowi znudziła się bowiem ojcowska opieka Francuza i spróbował uwolnić się od niego przy użyciu siły, co było przedsięwzięciem dość beznadziejnym, skoro miało się do czynienia z królem apaszów, choćby już po abdykacji tegoż monarchy.

Flambeau szykował się właśnie do skoku na przeciwnika, by udaremnić mu ucieczkę, gdy ksiądz poklepał go lekko po ramieniu.

- Pogódź się z nim, przyjacielu - powiedział. - Przepróż go i pozwól mu odejść. Nie jest już potrzebny.

Atkinson, trochę niepewny, podniósł się, odnalazł kapelusz, laskę i oddalił się ku furtce, a ojciec Brown spytał głosem, w którym brzmiała powaga:

- Gdzie podział się Hindus?

Wszyscy trzej (doktor zdążył do nich dołączyć) odruchowo spojrzeli w kierunku trawnika ledwo widocznego wśród otaczających go drzew, rozkołysanych teraz wiatrem, z purpurowymi refleksami zmierzchu. Widzieli go niedawno, gdy kiwał się zatopiony w modłach. Ale teraz już go tu nie było.

- Niech go diabli wezmą - zaklął doktor tupiąc nogą w złości. - Teraz wiem, że to robota tego czarnucha.

- Myślałem, że nie wierzy pan w czary - odezwał się łagodnie ksiądz.

- Ja też - doktor odwrócił wzrok. - Nienawidziłem tego żółtego diabła, bo sądziłem, że udaje czarownika. Ale gdy pomyślę, że jest nim naprawdę, nienawidzę go jeszcze bardziej.

- Jego ucieczka nie ma znaczenia - stwierdził Flambeau. - Niczego nie możemy mu dowiedzieć i nic nie możemy mu zrobić. Przecież nie pójdziemy na policję z historią o samobójstwie popełnionym pod wpływem czarów lub hipnozy.

Tymczasem ojciec Brown poszedł do domu zawiadomić panią Quinton o śmierci męża. Gdy wrócił, był blady i roztrzęsiony, ale nikt nie dowiedział się nigdy, jaki był przebieg ich rozmowy.

Flambeau, który spokojnie rozmawiał z doktorem, zdumiał się widząc, że ojciec Brown



wrócił tak szybko. Ale ten, nie zważając na niego, odciągnął na bok doktora.

- Posłał pan po policję? - spytał.

- Tak - odparł Harris. - Powinni być za dziesięć minut.

- Mam do pana prośbę - powiedział spokojnym głosem ksiądz. - Prawdę powiedziawszy zbieram różne niezwykle historie, które często z różnych powodów nie nadają się do zamieszczenia w raporcie policyjnym, tak jak sprawa naszego przyjaciela Hindusa. Chciałbym, żeby opisał pan ten przypadek wyłącznie dla mojego użytku. Pański zawód wymaga dużej przenikliwości - Brown poważnie i spokojnie spojrzął doktorowi w oczy. - Chwilami odnoszę wrażenie, że wie pan o tej sprawie więcej, niż uznał pan za stosowne powiedzieć. Mój zawód, jak pański, wymaga dochowania tajemnicy i to, co pan napisze, zostanie między nami. Ale proszę napisać całą prawdę.

Doktor, który wysłuchał tych słów w skupieniu, z głową przekrzywioną lekko w bok, spojrzął nagle księdzu prosto w oczy i powiedział: - Zgoda - po czym wszedł do pracowni, zamykając drzwi za sobą.

- Flambeau - odezwał się ksiądz - na ganku jest ławka, tam nie zmokniemy. Usiądźmy i zapalmy. Jesteś moim jedynym w świecie przyjacielem i chciałbym z tobą pomówić. Albo pomilczęć.

Usadowili się wygodnie. Ojciec Brown, wbrew swemu zwyczajowi, dał się namówić na dobre cygaro. Palili w milczeniu. Deszcz bębnił po dachu.

- Przyjacielu - odezwał się wreszcie ksiądz - to bardzo dziwna historia. Bardzo dziwna.

- Też tak myślę - powiedział Flambeau i wzdrygnął się.

- Obaj uważamy ją za dziwaczną, ale każdy z nas ma na myśli co innego. Umysł współczesnego człowieka myli dwa pojęcia: tajemnicy w sensie tego co nadprzyrodzone i tego co zawikłane. Na tym polega połowa kłopotu z cudami. Cud jest zdarzeniem zdumiewającym, lecz w istocie prostym. Prosty, gdyż jest cudem. Dzieje się wprost z mocy Boga (albo szatana), nie zaś pośrednio, za sprawą natury lub woli człowieka. Uważasz, że przyczyna śmierci Quintona jest niepojęta, gdyż jest nadprzyrodzona, bo śmierć ta nastąpiła za sprawą czarów niegodziwego Hindusa. Nie twierdzę, że nie ma w tym nic nadprzyrodzonego czy szatańskiego. Tylko niebios a piekło znają drogi, jakimi grzech przenika w życie człowieka. Oto moja konkluzja: gdyby to, jak ty uważasz, była istotnie magia, moglibyśmy mówić o cudzie, ale cud nie jest nieodgadniony, to znaczy nie jest czymś skomplikowanym. Natura cudu jest niepojęta, ale sam akt - prosty. Zaś przypadek Quintona jest czymś krańcowo odmiennym.

Burza, która przycichła na krótko, zdawała nasilać się znowu. Usłyszeli przytłumiony łoskot, jakby dalekiego grzmotu. Brown strząsnął popiół z cygara i ciągnął:

- Jest w tej historii coś szpetnego, podstępnego i zagmatwanego; nie w ten sposób objawia się wola niebios czy piekiel. Poznałem na wylot pokrętnie drogi, jakimi chadza człowiek, jak ścieżki węża.

Błysk pioruna rozdarł niebo i znowu zapanowała ciemność. Ksiądz mówił dalej:

- Z tego wszystkiego najbardziej oszukańczy był kształt tego kawałka papieru. Był wyrazem nikczemności jeszcze większej niż sztylet, który uśmiercił Quintona.

- Mówisz ojciec o tej kartce, na której Quinton zapisał swe samobójcze wyznanie?

- Mówię o kartce, na której Quinton napisał: „Ginę z własnej ręki”. Kształt tej kartki wieścił zło, całe zło niegodziwego świata.

- Tylko jej róg był odcięty i jeśli dobrze rozumiem, reszta papieru przycięta była w taki sam sposób.

- Cudaczny sposób - powiedział ksiądz - i w bardzo złym guście. Posłuchaj Flambeau, przecież Quinton - niech Bóg zlituje się nad jego duszą! - był może na pewien sposób szelmą, ale był też prawdziwym artystą. Charakter pisma, aczkolwiek trudno czytelny, miał śmiały i piękny. Nie mogę udowodnić tego, co mówię, niczego nie mogę udowodnić. Jednak z całym przekonaniem oświadczam ci, że Quinton nigdy w życiu nie bawiłby się w odcinanie koniusz-

ków kartek. Gdyby chciał pociąć papier w celu - bo ja wiem - dopasowania czy oprawy, zrobiłby to w inny sposób. Pamiętasz kształt tej kartki? Niewydarzony, kaleki. O, taki. Nie pamiętasz?

Ojciec Brown zaczął wymachiwać żarzącym się cygarem, kreśląc nieregularne prostokąty tak prędko, iż Flambeau wydało się, że istotnie widzi w ciemności ogniste hieroglify, takie o jakich mówił ksiądz - złowieszcze, chociaż nie do odcyfrowania.

- No tak - powiedział Flambeau, gdy ksiądz wsadził cygaro do ust i opadł na oparcie patrząc w górę na daszek. - Załóżmy, że kto inny pociął papier. Ale dlaczego ten ktoś miałby nakłonić Quintona, by popełnił samobójstwo?

Ojciec Brown nadał patrzeć w górę, wyjął tylko z ust cygaro i powiedział:

- Quinton nie popełnił samobójstwa.

Flambeau spojrział na niego w osłupieniu.

- O, do diabła! - krzyknął - dlaczego więc zostawił to wyznanie?

Ksiądz pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach, spojrział w ziemię i wyszeptał cicho lecz wyraźnie:

- To nie jest jego wyznanie.

Flambeau odłożył cygaro na bok.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś podrobił jego pismo?

- Nie - zaprzeczył Brown. - To pismo Quintona.

- Zaraz - zdenerwował się Flambeau. - Quinton własnoręcznie napisał: „Ginę z własnej ręki”, na nowej kartce papieru. Czyż nie?

- Na kartce cudaczego kształtu - dodał spokojnie ksiądz.

- Do diabła z kształtem - nie wytrzymał Flambeau. - Co to ma do rzeczy?

- Naliczyłem dwadzieścia trzy arkusiki z odciętymi rogami, a tylko dwadzieścia dwa odcięte skrawki. Zatem jeden został zniszczony, prawdopodobnie ten, który odcięto z zapisanej kartki. Czy to nic ci nie mówi?

Na twarzy Flambeau pojawił się błysk zrozumienia.

- Tam jeszcze coś było, jakieś inne słowa. Na przykład: „Powiedzą wam, że zginąłem z własnej ręki” lub „Nie wiercie, że...”

- Ciepło, ciepło - jak się mówi w dziecinnej zabawie. Ale odcięty koniuszek był mikroskopijny, nie zmieściłoby się tam nawet jedno słowo, a co dopiero sześć. Czy możesz wyobrazić sobie coś odrobinę tylko większego od przecinka, co wystarczyłoby usunąć, żeby zniweczyć dowód zbrodni?

- Nie mam pojęcia - powiedział po namyśle Flambeau.

- A co myślisz o cudzysłowie? - zapytał ksiądz i cisnął przed siebie cygaro, które zakreśliło w ciemności ognisty łuk, jak spadająca gwiazda.

Flambeau zaniemówił. Brown zaś powiedział tonem człowieka, który po dygresji powraca do spraw naprawdę ważnych:

- Leonard Quinton był poetą i pisał orientalną romancę o magii i hipnotyzmie. On...

W tej chwili otworzyły się drzwi i ukazał się doktor w kapeluszu na głowie. Wręczył księdzu długą kopertę.

- Oto dokument, o który ksiądz prosił - powiedział. - Muszę iść do domu. Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedział ojciec Brown.

Doktor poszedł energicznym krokiem do furtki. Przez drzwi frontowe, które zostawił lekko uchylone, przedostawało się trochę światła. Brown otwarł kopertę i czytał co następuje:

*Drogi Ojcze - Vicisti Galileae! Przeklinam Twoją nadzwyczajną przenikliwość. Czy możliwe, że jednak coś jest w waszych zabobonach?*

*Jestem człowiekiem, który od dzieciństwa wierzył w Naturę i wszelkie naturalne reakcje i instynkty, czy uznane za moralne, czy nie. Na długo przedtem, nim zostałem lekarzem,*

jeszcze gdy chodziłem do szkoły i gromadziłem myszy i pająki, wierzyłem, że nie ma na świecie nic doskonalszego od zwierzęcia. Teraz wiara moja zachwiała się; ufałem Naturze, ale okazuje się, że Natura może zdradzić człowieka. Czy może coś być w waszym zabobonie? Chyba jestem chory.

Kochałem żonę Quintona. Cóż w tym złego? Natura mi to nakazała, a dzięki miłości kręci się przecież świat. Myślałem też, całkiem serio, że będzie szczęśliwsza ze zrównoważonym zwierzęciem, jakim jestem, niż z tym zadręczającym ją lunatykiem. Cóż w tym było złego? Brałem pod uwagę tylko fakty, jak człowiek nauki. Byłaby szczęśliwsza.

Mój światopogląd zezwalał mi zabić Quintona, gdyż było to najlepszym wyjściem dla wszystkich, z nim włącznie. Jako zwierzę o zdrowych instynktach nie miałem jednak ochoty samemu popełniać samobójstwa. Postanowiłem więc, że nie zrobię nic, póki nie nadarzy się okazja, dzięki której wyjdę z tego bez szwanku. Okazja ta nadeszła dzisiaj.

Byłem dziś w pracowni Quintona wszystkiego trzy razy. Gdy zajrzałem tam pierwszy raz, Quinton powiedział mi o niesamowitej historii pod tytułem „Klątwa świętego”, nad którą właśnie pracował: hinduski mag nakłania pułkownika angielskiego do samobójczej śmierci myśląc o tym intensywnie. Poeta pokazał mi ostatnie strony pieśni, przeczytał nawet ostatni fragment, który brzmiał mniej więcej tak „Zdobycza Pendżabu, szkielet obciążony żółtą skórą, uniósł się z wysiłkiem na łokciu i wydyszał w ucho bratanka: «Ginę z własnej ręki, lecz zamordowany»”. Tak się złożyło - a taka szansa trafia się raz na sto - że ten ostatni wiersz został napisany na początku nowej strony. Wyszedłem stamtąd oszołomiony przerażającą okazją.

Spacerowaliśmy potem wokół domu i znów los dwukrotnie podsunął mi szansę. Ojciec podejrzewał Hindusa, potem znalazł sztylet, którym pewnie Hindus by się posłużył. Skorzystałem z okazji, wsunąłem sztylet do kieszeni, wróciłem do Quintona i dałem mu napój nasenny. Nie chciał słyszeć o Atkinsonie, ale nakłoniłem go, aby zawołał i uspokoił go, potrzebowałem wyraźnego dowodu, że żył, gdy wychodziłem drugi raz z pracowni. Jestem zręczny i w półtoorej minuty byłem gotowy. Wyrzuciłem wszystkie zapisane przez Quintona kartki z wyjątkiem ostatniej do ognia, gdzie spłonęły doszczętnie. Potem zauważyłem cudzysłów, odciąłem go i, żeby uczynić rzecz bardziej wiarygodną, odciąłem różki pozostałych czystych kartek. Opuściłem pracownię ze świadomością, że wyznanie Quintona o zamiarze popełnienia samobójstwa jest na stole, podczas gdy on leży żywy, choć uśpiony, nieco dalej w oranżerii.

Ostatni akt był desperacki: Ojciec się zapewne domyśla. Udałem, że zobaczyłem Quintona martwego i pospieszyłem do pracowni. Zatrzymałem Księdza podając kartkę papieru i zabiłem Quintona w czasie, gdy Ksiądz czytał jego rzekome słowa. Po wypiciu nasennej mikstury Quinton był półprzytomny. Włożyłem mu do ręki sztylet i pchnąłem w pierś. Kształt noża był tak dziwaczny, że tylko chirurg mógł uderzyć pod odpowiednim kątem i trafić w serce. Ciekaw jestem, czy Ksiądz to zauważył.

Kiedy już zabiłem, stało się coś niezwyklego. Natura mnie zdradziła. Poczulem się nie-dobrze. Poczulem się tak, jakbym uczynił coś złego. Myślę, że mózg odmawia mi posłuszeństwa. Czuję rozpaczliwą przyjemność na myśl, że powiedziałem drugiemu człowiekowi wszystko, że nie zostanę z tym sam, gdy ożenię się i dzieci przyjdą na świat. Co dzieje się ze mną? Szaleństwo... Czy mam wyrzuty sumienia, jakbym był bohaterem poematu Byrona! Nie mogę więcej pisać.

James Erskine Harris

Ojciec Brown pieczołowicie złożył list i ukrył go w kieszeni na piersi akurat w chwili, gdy u furtki zabrzmiał głos dzwonka, a mokre płaszcze nieprzemakalne kilku policjantów zaślśniły na ulicy.

Przełożyła Danuta Sękalska